

Łukasz Kleszczyński

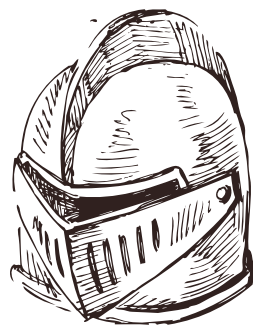
LEGENDA
O ZAMKU
WE WŁODZIENINIE



Włodzienin, 2018

Łukasz Kleszczyński

LEGENDA
O ZAMKU
WE WŁODZIENINIE



Dawno dawno temu

we wiosce Włodzienin, zwanej Bladen był przepiękny zamek. Prowadziła do niego śliczna ścieżka zrobiona z kamienia. Wokół zamku był duży zielony trawnik z altanką, obok której mieściła się niewielka fontanna. W ogrodzie rosły różne drzewa . Na ogromnej czarnej bramie mieścił się herb rodziny Neuhaus-Cormons - właścicieli prestiżowego zamku.

Zamek miał dziewięćdziesiąt dziewięć komnat. Komnaty w środku były tak piękne, że aż w piersiach dech zapierało, gdy się na nie patrzyło. Wszystkie podłogi były zdobione drogimi, perskimi dywanami. Niejedne ściany były przyozdobione miękkim, sobolowym futrem, które podobno od śmierci chroniło. Na ścianach były także drogie obrazy. Na szafkach, uroczych szafkach, które aż trudno opisać mieściły się cenne lampki oliwne. W dziewięćdziesiątej dziewiątej komnacie bardzo, bardzo głęboko pod pałacem mieścił się najcenniejszy skarb w całym powiecie. W ogromnych, białych, brzoszowych skrzyniach mieściło się złoto, diamenty, rubiny, szmaragdy. Wszystkie cenne kamienie jakie ludzkość widziała. Do tej tajnej komnaty dostęp miał tylko właściciel ekskluzywnej rezydencji i najstarszy syn-jego następcą . Nikt oprócz tych dwóch ważnych osób nie miał tam dostępu. A za zakradnięcie się tam, a już nie daj Bóg za kradzież, sprawcy, niezależnie od jego zawodu, czy tytułu, groziła jedna groźna kara – była to kara śmierci.

W rodzie właścicieli zamku było pięć osób: ojciec - Hans Christoph, jego żona – Röberta i ich dzieci: 26-letni syn Julius Cesar, 18-letni syn – Frans Leopold i 12-letnia córka – Tina Erika. Chłopcy byli śmiali i waleczni. Byli także bardzo mądrzy i wyrozumiali. Zнали wiele języków: niemiecki, polski i czeski. Oboje charakteryzowali się ciemnymi, brązowymi oczyma. Julius miał niedługie, ale też i niekrótkie, brązowe loki. Dziewczynka była piękna i miała delikatny charakter. Oczy jej były niebieskie i miała długie, śliczne blond włosy. Matka dzieci, żona pana była ładna i dobra. Właściciel rezydencji charakteryzował się odwagą, szczerością i uczciwością. Ich szlacheckie ubrania też były



zachwycające. Zwykli, wiejscy chłopci mogli sobie tylko o takich pomarzyć. Szaty były piękne. Miały ładne, kolorowe wzory. Boki ciepłych, czerwonych szat ze skóry były przyozdabiane końskim włosiem. A jedna, jedyna królowna, ze względu na swoje piękno nosiła na głowie srebrną tiarę podarowaną przez młodszego brata na imieniny.

Mieli także wielką służbę składającą się z 2 gospodyń, pokojówek, kucharzy i 99 strażników stojących przy pokojach. Wojsko składało się z 50 wojów. Żyło się tam całkiem spokojnie, nie licząc kilku małych czeskich napadów, które dało się opanować. Ale jeszcze żaden napad nie był tak straszny i tragiczny jak ten, o którym teraz usłyszycie.

Ten dzień mijał, tak jak każdy inny. Po godzinie dziewiątej władca uczył ważnych rzeczy swojego najstarszego syna, a Róberta opowiadała baśnie Tinie i Fransowi. Wszyscy się cieszyli życiem, gdy do sali, w której przebywał Hans z Julusem, przybiegł strażnik i krzyczał zdyszany:

- Panie, panie! Czesi napadają na Włodzienin! Mordują chłopów, nad nikim litości nie mają! Panie, panie ratujmy się, gdyż są już blisko.

- Nie panikuj! - krzyknął król - wyślij wojów, żeby ratowali wieś. Reszta pójdzie z nami. Ty także!

- Wedle rozkazu, panie. - wypowiedział i poszedł wysłać żołnierzy na wieś. Tymczasem król pobiegł do komnaty ratować żonę i dzieci.

- Roberto, drogie dzieci. Znow napadają, chodźcie ze mną.

- Dobrze, ojciec - odrzekły przestraszone dzieci chórem. I wraz z rodzicami poszły do tajnego podziemnego korytarza, którym mieli uciec. Pod ziemią znajdowała się już cała służba zamkowa, która czekała tylko na swojego pana, aby ruszać. Król wskoczył przez właz wraz z dziećmi.

- Dawaj mi tę pochodnię - krzyknął zdenerwowany król i wyrwał ją jednemu ze strażników, po czym przedostał się przez tłum ludzi na początek tej kolejki i ruszyli.

Szli, szli już ponad kwadrans, aż wreszcie dotarli do skrzyżowania,



które prowadziło w dwie strony prawą i lewą. Jeśli poszło się w prawo dojąć można było tylko do pustej ściany. Jednakże idąc w lewo dojąć można było do końca tunelu, który prowadził do kościoła św. Mikołaja, który znajdował się za wioską. Tam też mieli się wszyscy udać. W pałacu był jednak nowy strażnik obecny w tunelu, który jeszcze nigdy nim nie szedł i myślał, że należy iść w prawą stronę. A więc, co wiedział, to powiedział:

- W prawo, panie.

Hans ze strachu, ale bardziej ze zmartwienia, Bożego świata nie widział i poszedł według wskazówek nowego sługi. Rodzina wraz ze służącymi szli szybkim krokiem przed siebie, aż w końcu doszli do murku.

- Ojczy, ale to przecież nie jest wyjście z tunelu – cichutko powiedziała zmartwiona Tina.

- Ty głupcze! - przeraźliwie wrzasnął pan

- Wybacz, królu – uklęknął strażnik.

Już chciał uderzyć owego głupca, gdy nagle odezwała się Rőberta:

- Nie teraz Hans, chodźmy, zanim przyjdą i tutaj. A ty dostaniesz za swoje – zwróciła się do zawstydzzonego strażnika.

Tymczasem przy pałacu już się działo. Zmierzali do niego czescy rozbójnicy. Jeden z nich – Ctibor, będący przywódcą, ubrany w czerwony kapelusz oraz mający brodę otworzył już drzwi. W pałacu był tylko jeden strażnik. Był zaufanym strażnikiem króla, ale tak naprawdę jednym z postaćów rozbójników. Miał zarygłować każde drzwi w pałacu, a następnie uciec. Nie wypełnił jednak rozkazu właściciela pałacu, ponieważ zbliżała się długo wyczekiwana godzina rabunku. Już witał się z Ctiborem i jego ludźmi.

- E! Ty ! Ondrej – bo tak nazywał się fałszywy strażnik – gdzie ten skarb?! - wrzeszczał chciwy Ctibor.

- Chodźcie za mną! - odpowiedział Ondrej. Wszyscy śmiali się szyderczo.

Biegli przez długie korytarze aż doszli do niemal niewidocznych drzwi, które otworzyli, zeszli do zimnej piwnicy, a na samym jej dole dostrzegli wielkie, drewniane drzwi.

- Niezłe zabezpieczenia! I po co im takie, jak sami zwiali, a skarbiec zostawili



nam! - wyśmiewał Otokar, jeden ze złodziei Ctibora.

- Właśnie!!! – wrzasnął, ile tylko tchu miał w sobie Josef, a następnie wraz z całą grupą przestępców próbował wyważyć drzwi. Nie mieli jednak na tyle sił.

- Patrzcie ! - jeden z nich wskazał na toporek leżący przy ścianie naprzeciwko ogromnych drzwi, który miał służyć do zabicia włamywacza. Tym jednak razem nie mógł do tego posłużyć, gdyż nikt nie mógł ich przytapać.

- No tak! - pstryknął Ctibor – to jest to ! Porąbimy drzwi na kawałki!

Jak pomyślał, tak uczynił. Podniósł toporek i z rozbiegu rozwalił drzwi. Rozbawieni rozbójnicy z zapalonymi pochodniami podeszli do pięknych białych, brzoźowych skrzynek i porozwalali je siekierą, ponieważ nie mieli klucza do owych cennych skrzynek. Z rozwalanych skrzyń wypadały rubiny, diamenty, złoto, szmaragdy, i inne cenne kamienie, jakie tylko ludzkość widziała. Napakowali do worków, ile tylko zdołali i wszystko zanieśli do swoich brudnych wozów. A gdy zanieśli kamienie powynosili z rezydencji jeszcze inne cenne przedmioty, takie jak obrazy, sobolowe futra, dywany, lampy oliwne, książki, sztuki i jeszcze wiele, wiele innych tak cennych przedmiotów, że chłopcy mogli sobie o nich jedynie pomyśleć. Ile zdołali, tyle wynieśli. Ile unieśli, tyle zanieśli.

W tunelu zaś było źle: Kiedy Hans, Julius, Frans, Tina i Robertha wraz ze służącymi biegli, jeden spośród obecnych tam krzyknął:

- Wali się!!!

Reszta spojrzęła za siebie, i doprawdy – cegły i ziemia waliły się wszystkim na głowy.

Przerażona Tina tak płakała i tak szybko biegła, że aż jej tiara z głowy spadła. Nie podnosiła jej jednak. Myślała tylko o swoim życiu. Nawet Hans, Robertha i dwaj synowie ich zaniemówili i biegli, ile tylko mieli sił w nogach.

- Uważaj, Tina! - krzyknął załamany Julius. A nie mającej już sił do biegania Tinie spadł odłamek cegły na głowę. Wtedy ta zawsze twarda i waleczna Robertha klęknęła i zemdlęła.

Pozostało już tylko trzech załamanych mężczyzn nie wiedzących, co robić.



Może to dlatego, że już nie było co robić. Nie dało się pójść ani do medyka, ani poprosić o to straż, nie mieli nawet wody. Nie było co robić, nie dało się już nawet ruszyć. Mogli tylko stać z załamanyimi rękoma. Zapłakany Frans, tak, ten waleczny Frans, wciągnął głęboko powietrze do ust, popatrzył w górę i co ujrzał? Ciemność, wielką ciemność chłonącą jego duszę. Już nikt nie zobaczy jego przystojnej twarzy. Nikt już nie zobaczy dobrej twarzy ojca jego, która pod koniec życia była załamana, czerwona i zaszlochana. Już... koniec. Już... spotkają się na tamtym świecie. Nie będzie już słychać wesołych głosów dzieci biegających po komnatach. Umarli. Odeszli na tamten świat. Nie dotarli do kościoła św. Mikołaja, wszyscy zginęli w podziemnym przejściu.

Gdy oni odchodzili, odchodził także zamek. Szyderczo śmiejący się rozbójnicy podpalili prześliczną budowlę, która stała tu już tak długo. Zamek palił się długo, aż prawie spłonął doszczętnie. Pozostała już tylko ruina. A rozbójnicy pojechali nie wiadomo gdzie i tam żyli w dostatku, dzięki zrabowanym skarbowi.

Wiele, wiele lat później ludzie w miejscu zamku wybudowali szkołę, w której dzieci uczą się po dziś dzień.

Koniec